Tekst Elżbieta Turlej, Newsweek, nr 13, 23-29.03.2020 r.

Ojciec przed śmiercią zdradził, na czyjej ziemi ich pochowali. Od lat walczę, żeby mieli tam choć kamień z napisem, ale właściciel pola, działacz PiS, mówi: nie chcę problemów

Kiedyś było tu bagno. Dziś pole.

- Tam leżą - pokazuje palcem Krzysztof Głuchowski, właściciel ziemi. - Osiem osób. Cztery kobiety, trzej mężczyźni, chłopiec. Żydzi.

„Tam” to zagajnik za polem we wsi Aleksandrów pod Łukowem w województwie lubelskim. Liche krzaki, połamane brzozy. I dół. Kiedyś wyrobisko piachu. Dziś wgłębienie porosłe mchem i pełne drobnych kamyków.

- Tu są! - pokazuje wgłębienie Głuchowski.

- Wiem o nich od zawsze - dodaje. - Jako dziecko siedziałem pod stołem i słyszałem, jak wspominali ich sąsiedzi. Kiedy podrosłem, przeczytałem o nich w pamiętniku taty.

Ojciec, rolnik, prowadził pamiętnik przez całą wojnę. W grubym brulionie bez linii piórem z obsadką zapisywał każdy dzień. Kiedy do Aleksandrowa weszli Niemcy, a kiedy „czerwoni”, u kogo mieszkali, kto ich musiał żywić, kto ukrywał się w lesie, kto, kiedy i po co z niego wychodził. O zabitych Żydach było tyle, co zapisał pod datą Niedzieli Palmowej 1944 roku. Czyli: „Poszedłem do lasu po barwinek do święconki. Z wyrobiska w zagajniku wystawała noga w skarpetce”.

- Matka potem opowiedziała mi, kto tam leżał, czyli o uciekinierach z getta ukrywanych przez

sąsiada, Józefa Karwowskiego, w chlewie - dodaje. - Siedzieli u niego przez kilkanaście miesięcy, ale 11 marca 1944 roku, cztery miesiące przed wyzwoleniem, ktoś na nich doniósł. A potem ktoś ich w tym chlewie Józefa zabił i pochował na naszym wyrobisku.

TRÓJKĄT Z KAMYKÓW Kopenhaga

- Cały czas mam przed oczami to pole, zagajnik i porosłe mchem wyrobisko - mówi Jan Karwowski, syn Józefa. Mieszka w Danii, ale stara się przyjeżdżać do Polski. Odwiedza grób ojca pochowanego na cmentarzu w Łukowie. Wpada też na łukowski kirkut. Myśli wtedy o tych, którzy nie mieli tyle szczęścia co jego matka, Dwojra Obrączka.

- Mama z rodziną była w getcie w Łukowie - mówi. - Uciekła, kiedy poszły słuchy, że Niemcy szykują transporty do Treblinki. Dostała od znajomych adres zaufanego gospodarza z Aleksandrowa. Tak moja przyszła matka Dwojra poznała mojego przyszłego ojca Józefa.

Dwojra miała 18 lat. Józef 26. Nosił jej jedzenie na pole, do lasu, do stodoły, wreszcie - Wedy przyjął ośmioosobową rodzinę Sijów, uciekinierów z getta - do schronu wykopanego pod chlewem. Schron był połączony z chałupą. Ukrywający i ukryci słyszeli się przez ścianę.

Józef za dnia pracował w gospodarstwie. Żydzi, całe dnie siedzący pod ziemią i gnojem, nocą wychodzili przed dom.

Mężczyźni szli do lasu. Kobiety gotowały.

Ośmioletni chłopiec być może układał na ziemi trójkąty z kamyków.

Byli ostrożni, ale któryś z sąsiadów ich zobaczył. Powiedział kolejnemu. Ten doniósł - jak nazywali ich we wsi - polskiej bandzie z lasu. Jeszcze kolejny doniósł Józefowi, że „leśni” szykują się na jego Żydów.

- Ojciec prosił, żeby uciekali, ale nie ufali nikomu we wsi - mówi Jan. - Tylko matka ukryła się w stodole u jego brata.

Nocą usłyszeli krzyk Józefa. Bili, nie zabili, bo mimo wszystko był jednym ze swoich. Potem Józef usłyszał dobiegające zza ściany błagania o życie i strzały. Nazajutrz Dwojra zobaczyła ich leżących przed chałupą. Prosiła, żeby Józef wydał ją gestapo. Chciała, jak ci, z którymi się ukrywała, do ziemi.

- Ojciec wykopał dla niej kolejny schron, tym razem pod podłogą w dużej izbie - wspomina Jan. - Na klapie prowadzącej do dołu postawił stary, ciężki kredens. Wyszła na powierzchnię tuż po wyzwoleniu, czyli kiedy do wsi weszli Rosjanie.

Zamieszkała z Józefem w izbie z dziurą w podłodze. Pobrali się. Zaszła w ciążę. Pomagała w gospodarce.

Ale pokazywali, gdzie jej miejsce. Sąsiedzi rzucali na jej widok: „Dlaczego ty żyjesz, a tamci, ukrywani w chlewie, zginęli? Komu i co dałaś, że ciebie oszczędzili?". Tuż po wyzwoleniu, kiedy poszła po mąkę do młyna, ktoś do niej strzelił. Kula musnęła głowę, uratował ją lekarz z wojskowego szpitala. Potem Józef usłyszał: „Jest tyle naszych, dlaczego wziąłeś się za obcą?".

- Wyjechali - wspomina Jan. - Najstarszy brat, Mirek, urodził się w Łukowie, ja, Grażyna i Anna w Łodzi. Ziemię w Aleksandrowie oj ciec puścił w dzierżawę. Wpadaliśmy na wakacje. Przez rok - kiedy ojciec nie mógł znaleźć dzierżawcy - chodziłem tam do szkoły. Miałem 9 lat.

BŁOTO NA BUTACH Aleksandrów, Kopenhaga

- Pamiętam rodzeństwo Karwowskich - mówi Głuchowski.

- Chodziliśmy razem do szkoły i lasu. Urządzaliśmy zawody w biegach na czas i skokach w dal. Do wyrobiska skakało się naj - lepiej. Odbijaliśmy się od wysokiego brzegu i przez moment szybowaliśmy w powietrzu. Wyniki zaznaczaliśmy kamykami.

W latach 60., kiedy mieli po kilka i kilkanaście lat, ziemia w wyrobisku była grząska. Wracając do domu, czyścili buty z błota. Ojciec Głuchowskiego nigdy nie mówił, że nie powinien bawić się na Żydach.

- Przywykłem, że oni tam są - mówi. - Koledzy ze wsi też o nich wiedzieli. Nie pamiętam, czy mówiłem o nich Jankowi, Mirkowi, Grażynie i Ance.

Jan Karwowski nie wiedział, że w zagajniku u Głuchowskiego są pochowani Żydzi, których ukrywał jego ojciec. Nie pamięta też skoków do wyrobiska.

- Pamiętam za to, że kiedy chodziłem z kolegami po lesie, znajdowałem leżące na ziemi ludzkie kości i czaszki - mówi.

Do dziś nie jest pewien, czy to byli swoi ze strony ojca, czyli pochodzący z Aleksandrowa „leśni", zastrzeleni przez Niemców albo bezpiekę? A może to byli swoi ze strony matki, czyli wymordowani przez jednych i drugich uciekinierzy z getta?

- Nie czułem, że muszę wybierać między jednymi i drugimi - mówi Jan. Tym bardziej że wtedy Dwojra nie opowiadała jeszcze o losach rodziny. Wiedziała, kto ocalał, kto zginął. Miała też szansę pożegnać się z rodzeństwem emigrującym w latach 50. do Izraela, ale kiedy wyjeżdżali, Józef uprosił, żeby została w domu.

- Nie mówili o miłości, ale widziałem, że się kochają - mówi Jan. - Byli nierozłączni. Matka bała się Aleksandrowa, ale jeździła tam, żeby ojciec nie był sam.

W chałupie sąsiadującej z chlewem woj na wyłaziła na wierzch. Matka opowiadała o krwi na ścianach i o tym, że bandyci znowu przyjdą. Ojciec uspokajał ją. We wsi mieszkali przecież jego czterej bracia. Prowadzili gospodarkę. Jeśli nie on, to oni mieli być jej rękojmią bezpieczeństwa.

- Miałem 20 lat, kiedy ktoś ze swoich wrzucił truciznę do naszej studni. Woda dosłownie się w niej zagotowała - mówi Jan.

- Wtedy po raz pierwszy zacząłem myśleć o sobie jako o Żydzie. Wysłał do PCK w Izraelu dane rodzeństwa matki. Po tygodniu dostał ich adres. Mieszkali w Izraelu, gdzie najszybciej można było się dostać przez otwartą dla Żydów Danię.

Józef kochał Dwojrę, ale nie chciał zostawiać swoich. Dwojra kochała Józefa, ale chciała wreszcie spotkać się ze swoimi. Rozwiedli się, podzielili majątek. Pod koniec lat 70. Jan wyjechał z matką do Kopenhagi, potem dołączyli do nich brat i siostry.

Głuchowski: - Pamiętam, jak likwidowali gospodarkę w Aleksandrowie. Oddawali sąsiadom meble. Mojej rodzinie zostawili stary, ciężki kredens.

SPOTKANIE NAD WYROBISKIEM KOPENHAGA

- Nie tęskniłem za Polską - mówi Jan Karwowski. - Brakowało mi ojca, ale dostać się do PRL za komuny nie było łatwo. Odwiedziłem go w 1985 roku. Leżał w szpitalu w Łodzi. Przed śmiercią powiedział, że Żydzi zamordowani w jego chlewie leżą na polu Głuchowskiego. Pytałem, kto to zrobił i kto ich pochował, ale nie chciał wyznać. Powtarzał tylko, że Bóg osądzi zbrodniarzy i ich rodziny.

Po raz pierwszy mówił też, jak bardzo kocha Dwojrę i jak mocno żałuje, że nie są razem.

Jan pochował go - zgodnie z życzeniem - w rodzinnym grobie w Łukowie.

Po śmierci Józefa Dwojra zapadła się w sobie. Całe dnie spędzała w łóżku, ożywiała się nocami. Wylazła z niej, jak mówi Jan, cała wojna. Opowiadała o ojcu, któremu Niemcy kazali najpierw kopać dla siebie dół, ale za złoty zegarek puścili wolno. Zmarł na zawał, kiedy pakowali się do getta. Mówiła też o siostrze Rywce. Przez kilka dni razem ukrywały się u Józefa. Potem Rywka poszła do getta po młodszego brata, ośmioletniego Lejbę (razem było ich dziewięcioro). Wracali torami z Łukowa do Aleksandrowa i w połowie drogi ktoś ich zastrzelił.

- Ale najwięcej opowiadała o rodzinie Sijów zabitych w chlewie u ojca. I o sąsiadach, którzy za dnia uprawiali pole, a nocą napadali na ukrywających się w stodołach i chlewach uciekinierów z getta - mówi Jan. - Zabijali dla resztek żydowskiego majątku albo zwyczajnie, z antysemityzmu. Ojca, który nas ukrywał, pewnie też by zabili, ale bali się zemsty jego braci.

Pytał matkę: - Dlaczego nie postawiliście chociaż kamienia tym, którzy leżą pod ziemią? Dlaczego nie ukaraliście tych, którzy to zrobili i na tej ziemi zostali? Odpowiadała: - Nigdy tam nie jedź! To bandyckie strony!

Kiedy również w duńskich mediach pojawiły się artykuły na temat Jedwabnego, spisał opowieść matki i wysłał do IPN. Po trzech latach dostał odpowiedź od Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu: „Śledztwo w sprawie pozbawienia życia 8 nieustalonych osób narodowości żydowskiej umorzono wobec niewykrycia sprawców".

- Zeznania matki i wynik śledztwa znalazły się w książce o łukowskich Żydach, wydanej przez pochodzącego z Łukowa historyka, Krzysztofa Czubaszka. Dotarł on też do podziemnego pisma z 1944 roku, w którym napisano, że mordu w chlewie ojca dokonali partyzanci z Narodowych Sił Zbrojnych - mówi Jan. - W 2008 roku zaprosił mnie na promocję książki do Łukowa. Wtedy po raz pierwszy od ponad 30 lat pojechałem do Aleksandrowa.

Chałupy, w której Józef ukrywał Dwojrę, już nie było. Nie żyli też pamiętający ich sąsiedzi. W obejściach kręcili się ich synowie i córki, z którymi Jan bawił się kiedyś w pobliskich lasach.

- Nie miałem pojęcia, że Krzysiek Głuchowski robi karierę w polityce - mówi Jan. - Sąsiedzi wyjaśnili, że najpierw był senatorem z Ruchu Odbudowy Polski, potem związał się z Ligą Polskich Rodzin, z której usiłował dostać się do Sejmu. Kiedy przyjechałem do Aleksandrowa, był radnym sejmiku województwa lubelskiego.

Podjechał pod jego dom. Krzysztof był w ogrodzie. Pogadali chwilę przez płot. Jan poprosił, żeby zaprowadził go do lasu, w którym leżą Sijowie. Podwinęli nogawki, bo ziemia była błotnista. Stanęli nad byłym wyrobiskiem. Jan powiedział, że może i ojcowie nie umieli się w tej sprawie dogadać, ale oni przecież mogą. Czyli: powinni postawić na krawędzi wyrobiska

kamień. I napisać na nim o ośmioosobowej rodzinie Żydów zabitych tuż przed wyzwoleniem przez Polaków. Krzysztof przyznał, że to dobry pomysł, i zaczął mówić o pamiętniku, w którym ojciec zapisywał, kto ze wsi szedł do partyzantki. Niedawno ktoś ze wsi pożyczył od niego ten pamiętnik i zniszczył.

- Ale i tak wszyscy wiedzą, kto był kim w czasie wojny - powiedział. I dodał: - Jeśli postawimy kamień, będę musiał go pilnować przed zniszczeniem. Ludzie nadal nie chcą tu Żydów.

Umówili się na kontakt. Jan czekał. Umarł jego starszy brat. Umarła też Dwojra. W internecie pojawiały się informacje o rosnącym w okolicach Łukowa kulcie Narodowych Sił Zbrojnych i o Głuchowskim, który aktywnie działa w PiS, wygrywa wybory do sejmiku lubelskiego i uczestniczy w kolejnych świętach „wyklętych”.

Kiedy w 2015 roku po raz kolejny się spotkali - przy okazji odsłonięcia pomnika w miejscu łukowskiej synagogi - Krzysztof zachowywał dystans. - Unikał mnie - mówi Jan. - Wiedziałem, że jest w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu. Zadzwoniłem, kiedy został posłem. Powiedziałem: „Krzysiek, nie zapomnij, o czym rozmawialiśmy w lesie, nad wyrobiskiem”. Powiedział, że oddzwoni. Czekam na ten telefon już 5 lat.

TWARDA ZIEMIA ALEKSANDRÓW

Dom Krzysztofa Głuchowskiego. Na ścianach krzyże, biało- -czerwone flagi, symbole NSZ, oprawiony tekst Dekalogu Polaka z mocno wybitym punktem 7: „Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego”. Naprzeciw masywnego biurka zdjęcie posłów PiS siódmej i ósmej kadencji Sejmu. Wśród nich portret Głuchowskiego. Od kilku miesięcy jest poza parlamentem, ale z polityki nie zamierza rezygnować. Musi tylko przypomnieć się wyborcom. Czyli swoim, z Aleksandrowa i okolic. Na razie jednak patrzy przez okno na pole z zagajnikiem.

- Jak się czuję, wiedząc, że na mojej ziemi leżą zabici niewinni ludzie? - mówi. - Przywykłem.

- Czy postawię na krawędzi wyrobiska upamiętniający ich kamień? Musiałbym mieć zgodę nadzorujących ten zagajnik Lasów Państwowych. Najpierw dużo starań, potem dużo kłopotów.

- Ale może lepiej zostawić, jak jest? - teraz to on pyta. - Po co drażnić starszych mieszkańców? Po co prowokować do pytań ich dzieci i wnuki? Po co ryć w twardej ziemi?

I ostatnie pytanie: dla kogo?

Opracował: Aron Kohn, Hajfa – Izrael